

ROK IV.
Kraków, dnia 6 Marca 1910 r.
Nr. 10.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. — Do Ameryki 2 dolary, — do Niemiec 6 koron. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya „Roli". Kraków, ulica Garncarska l. 1. — Cena ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**
Numer pojedynczy 10 halerzy.

Idzie nowe życie.

Po letnich rozkoszach układła się ziemia na długi sen zimowy. Strojne kwiaty pochyliły pstre swoje główki i zasnęły snem twardym. Zżółkłe liście opadły z drzew, a ptaszęta albo odleciały do ciepłych krajów, lub też umilkły i opuściły swoje, dawniej zielone mieszkania. I muszek tysiące, brzęczących w locie, zamilkło i przestało szeptać swoje pacierze. Stanęły wody i przestały szemrać swoje wspaniałe hymny.

A razem z kwieciem, ptaszkami, muszkami i woda zasnęła i ziemia cała, skuta lodowatą powłoką.

I długo spała ziemia — niby martwa, niby bez czucia. Spała, nie jak matka rodna, matka kochana, ale jak macocha, zimna i bezlitosna.

Ale wszystko ma swój koniec, więc i koniec zimy począł się zbliżać szybkim krokiem. Przyszły dni marcowe, jeszcze czasem zimne i mroźne, ale nieraz darzące ziemię ciepłem miłem i rozkosznem. Ziemia zaczęła się otrząsać ze snu długiego i ciężkiego.

Do stóp Matuchny Najświętszej pierwszy pofrunął szary skowronek, a przymila się i prosi:

— Mateńko droga! pozwól mi lecieć na niwy polskie, do braci moich, do rolników polskich.

A Najświętsza panienka na to:

— Leć, biedactwo, leć, ale zimno cię zmoże, głód wyczerpie twe wątłe siły.

— Nie zginę, Matuchno, a lecieć chcę, bo mi tęskno za ziemią rodzinną.

Skowronek, oddawszy pokłon Świętej Panience, ruszył co tchu do polskiej ziemi.

Dowiedziawszy się o tem pozwoleniu blady pierwiosnek, nuż z prośbą do Matki Boskiej:

— Mateczko złota — powiada — pozwól i mnie wyglądnąć na piękny świat Boży, pozwól i mnie ustroić ziemię, karmicielkę moją!

— Nie wytrzymasz — powiada Matka Najświętsza — nie wytrzymasz, a mróz zwarzy młode twe listki.

— Matuchno moja — odrzecze kwiatek — gdy zimny wiatr powieje, a mroźna noc nadejdzie, skryję główkę swoją pod miękki, puszysty śnieg!

Najświętsza Panna nikomu nie odmawia, kto ją szczerze i serdecznie prosi, więc i pierwiosnkowi pozwoliła zobaczyć piękny Boży świat.

Zakwitnął pierwiosnek, a gdy słońce skryło się za las cienisty, gdy powiał zimny wiatr i przyszła mroźna noc, chował się biedny wśród zeschłych liści i zeszłorocznych traw.

O dobroci Najświętszej Panienki wieść rozniosła się lotem błyskawicy. Wszystko zaczęło dążyć ku niej z błagalnemi prośby, aby zezwoliła iść na ziemię polską, na ziemię mogił i krzyżów.

Mała pszczółka, brzęcząc, leci do stóp Matuchny i powiada:

— Pozwól, Matko moja, pozwól wylecieć z ula, pozwól pobujać w powietrzu, pozwól nazbierać wonnego miodu i zrobić dla Ciebie żółciutkiego wosku!

A grom rzecze:

— Pójdę zagrzmieć ziemi i przebudzić ją z zimowego snu. Niech okryje się kwieciem, niech zazieleni się trawą i odżyje życiem nowem. Niech wyda plon obfity dla rolnika, który z takiem upragnieniem czeka jej przebudzenia.

I tak szło wszystko do stóp Matki Chrystusa z kornemi prośby o pozwolenie do nowego życia, do przebudzenia z długiego snu.

A Panna Najświętsza, jak dobra matka, baczyła na wszystko, dawała rady i nauki, przestrzegała przed trudami i zawodami, ale błagana, pozwalała na życzenia stworzeń.

A stosownie do łaskawości Najświętszej Panny świat poczyna się budzić do nowego życia, do nowych walk i mozołów.

Gdy pierwsze silniejsze blaski ogrzeją uśpioną ziemię, wyrusza pracowity rolnik z pługiem na szare pole, kraje nim czarną ziemię i rzuca ziarno, by plon stokrotny wydało.

Ze zmarzniętej nieraz ziemi wystrzelają barwne kwiaty, wyrastają zielone roślinki i zmieniają brudną powłokę ziemi w różnobarwny dywan.

Drzewa wystrzelają pąkami i okrywają się białem kwieciem, siejąc wokół balsamiczne zapachy.

Powietrze napełnia brzęk milionów muszek; tysiące barwnych motyli kąpie się w błyszczącem słońcu. I choć czasem mróz ściśnie, śnieg spadnie, ale każdy widzi, że panowanie jego skończone, że na ziemię zstępuje nowa rozkosz i nowe życie.

Krzyżacy na Litwie.

XIII. GODY NA ZAMKU.

Przygotowania weselne. — Smutek matki. — Wieczór dziewic. — Napad drużbów. — Jazda do świątyni. — Piękność Pojaty. — Posłaniec Kiejstuta. — Niełaskawie go przyjmują. — Uczta weselna. — Co robi Trojdan.

Przygotowania godowe, któremi na obu zamkach służba księcia była zajęta, dawały poznać mieszkańcom Wilna, jak świetne Jagiełło gotuje swej siostrze wesele. Sprowadzone zagraniczne przyprawy i drogie napoje, mnóstwo ryb i zwierzyny, zapowiadać zdawały najznakomitszych panów przybycie; atoli w dniach ostatnich zjazd gości wcale nie odpowiedział tak wystawnym zachodom. Zbiór wprawdzie był liczny, lecz nie spostrzegano w nim żadnego ze stryjecznych braci możniejszych krewnych Jagiełły. Dalecy tylko powinowaci, których los zależał od łaski książęcej lub przyjaźni Wojdyły, w skromnych pocztach zjeżdżali się na zamek, lub nie dość śmiali, stawali w mieście gospodą. Księżna Olgierdowa, w ostatni przedślubny wieczór patrząc na tak nieświetną drużynę, z żałością przyciskała córkę do serca, tę do niej smutną czyniąc przemowę:

O ty! moje z najmilszych najmilsze dziecko, nie takich ja sobie obiecywałam na twem weselu częstować gości! Nie będą bogate księżniczki rozplatać we łzach twoich warkoczy, nie będą raźni książęta w tańcu dobijać się twej ręki, ani cię najwaleczniejszy z rycerzy odda w ręce małżonka! Ani cię już ujrzą więcej me oczy w szubie szkarłatnej! Cóż czynić, moja miła, kiedy taka wola jest bogów i rada ludzi! Obyś przynajmniej w tym związku znalazła niepłonny szczęścia zadatek! Już się świat dla ciebie odmienia, odstępują krewni, przyjaciele mniej cenią; ja jedna zawsze ta sama dla ciebie zostanę. Idź spędzić ten wieczór ostatni między towarzyszkami. Dziś jeszcze do nich należysz, dziś możesz śmiać się i cieszyć, jutro śród mężatek zasiądziesz, a pojutrze już będziesz daleko odemnie.

Aksena ze łzami ściskała nogi księżnej, a zadość czyniąc przedślubnym obrządkom, udała się na wieczór do przyległej izby, gdzie same tylko miały prawo znajdować się dziewice. Był już tam czekający na nią orszak córek najznakomitszych panów. Stanąwszy z pokorą u drzwi, prosiła towarzyszek, aby ją biedną i ściganą przyjąć raczyły do siebie i dały schronienie przed przemocą swatów, których nasłał na nią Wojdyło. Rzucały się na jej obronę dziewice i życiem własnem bronić przyrzekały. Wieczór zszedł na tańcach i śpiewach. Nazajutrz, zaledwo słońce złocić zaczęło szczyty zamkowe, dał się słyszeć przed drzwiami dziewic dźwięk muzyki godowej, przeplatany wesołem swatów śpiewaniem.

I mocny hałas zrobiwszy, z trzaskiem drzwi otworzyli. Aksena, chociaż może i potrafiłaby się oprzeć ich natarczywości, z uległością poddając się przeznaczeniu, mało się wzbraniała, lubo ją dziewice szczerze broniły. Trzeba było nakoniec możniejszej sile ustąpić. Dwaj pierwsi drużbowie chwycili ją i wziąwszy pod ręce, śpiewając i brzęcząc, z tryumfem do Wojdyły wiedli. Rzucał się za nimi tłum dziewic i jęki żałości mieszał z radosnymi okrzykami. Pan młody, ubrany w purpurowe szaty, z pękiem kwiatów u piersi, na dzielnym rumaku, w postawie dumnego zwycięzcy, czekał na dziedzińcu mieszkania swego, otoczony krewnymi i przyjaciółmi, którzy poglądali na niego z radością i uszanowaniem. Stawiona przed nim Aksena nizki mu pokłon oddała, on ją grzecznie przywitał i poleciwszy staraniu krewnych, jechał z drużbami do matki.

— Oświecona księżno! — wszedłszy rzekł do niej wyniośle — wziąłem wam córkę, chcę ją zaślubić i pytam: wiele żądacie, żebym za nią zapłacił?

Długo księżna wzbraniała się dać odpowiedź, ułagodzona nakoniec, rzekła:

— Gdybyś mi skarby całego świata wyliczył, nie zapłaciłbyś jej jeszcze, ale kiedyś już ją dostał, najlepiej mi ją opłacisz, jeśli ją kochać i szanować będziesz.

Przyrzekłszy Wojdyło wszystko, czego żądała matka, ofiarował jej drogi naszyjnik, a na dowód zezwolenia przyjąwszy od niej pierścień, pospieszył z nim do narzeczonej. Na ten znak poddała się córka woli matczynej, odebrała z rąk Wojdyły bukiet godowy. Wtenczas wzięły ją drużki, wiodły na dziedziniec zamkowy i posadziwszy na dzieży nowej, dnem obróconej do góry, śpiewały żałośnie. Jedne jej rozplatały warkocze, drugie czyste nogi umywały w pachnącej wodzie, którą starosta grodowy kropił przybyłych gości i lud licznie zebrany. Ozuto ją potem w złote obuwie, twarz okryto zasłoną, prowadzono z panem młodym na salę zamkową, gdzie matka i brat już czekali. Tam Aksena do nóg ich padłszy, odbierała błogosławieństwo.

— Wychowałam cię w cnocie i bojaźni bogów, obym za moje starania doczekała się widzieć cię szczęśliwą! Niechaj cię mąż przez wszystkie dni życia twego tak piękną znajduje, jak dziś piękną widzi, niech dom wasz bogowie miłemi rozweselą dziatki, a mężne syny i skromne córki plemię wasze rozrodzą! niech w nim nigdy na niczem nie schodzi, a pokój i gościnność niech wiecznie panują.

Po tej przemowie prowadzono Aksenę do śpichrzów pana młodego, gdzie starosta swadziebny, sypiąc jej na głowę ziarna i krupy, tłómaczył obowiązki rządnej gospodyni i potrzebną sprawiania domu dawał naukę.

O południu udano się do świątyni. Panna młoda z rozwianemi warkoczami, z podniesioną z twarzy zasłoną, siedziała na wysokiej kolasie między dwiema drużkami, z których pierwszą była Pojata. Sześć dzielnych koni z kitami, w bogatym zaprzęgu, ciągnęło weselny powóz. Poprzedzał go chorąży grodowy, wywijając na koniu w powietrzu białą chorągwią. Był tam i łowczy swadziebny, puszczający strzały do góry, i trefniś, dowcipne żarty prawiący. Za kolasą dopiero jechał pan młody wśród swatów i na bystrym rumaku dziwne zręczności okazywał sztuki, dalej szły długim szeregiem wozy, pełne drużyny godowej.

Nim ten orszak stanął w Antokolu, po trzykroć zrobił okrąg po wszystkich ulicach, gdzie mu się lud z okien i ganków przypatrywał ciekawie. Już oddawna w świątyni bogów Jerbut, w uroczyste szaty przybrany, czekał na przybycie państwa młodych. Wprowadzeni przez swatów, cześć winną bóstwom oddawszy, powtarzali za Jerbutem słowa małżeńskiej przysięgi, poczem kapłan podał im kubek bursztynowy, nalany piwem, z którego gdy się napili, pan młody cisnął go o ziemię i pokruszył nogą, a kapłan zawołał:

— Niech tak przepadnie wszelka nieżyczliwość tym związkom!

Natychmiast swatowie zapalili świece, a chór kapłanów pieśń godową zanucił.

Przez cały czas obchodu Trojdan, zajęty posługą koło Jerbuta, miał sposobność przypatrzeć się dobrze Pojacie. Strój jej godowy, chociaż niewyszukany, nieskończenie blask jej wdzięków powiększał. Biała, skromna suknia, czysta jak jej dusza, blado-zielonym okolona pasem, włosy ciemne gładko zaczesane, objęte srebrnym galonem, za którym zatknięta gałązka ruty i kilka u piersi bławatków, całą jej były ozdobą. Anielska skromność i niewinność spojrzenia najlepszą z wdzięków były ozdobą i tak ją piękną czyniła, że każdy na nią tylko miał oczy zwrócone. Nie mógł jej i Trojdan odmówić podziwienia swego, patrzył też nie bez niepewności i trwogi, a chociaż między Pojatą, a znaną sobie dziewicą znajdował różnicę, nie przestawał jednak zajmować się tak wielkiem ich, z pierwszego wejrzenia podobieństwem.

Tymczasem orszak godowy postępował napowrót śród dźwięku trąb, surm i różnych brzękadeł, a lud z okien i dachów sypiąc na państwo młode różnego gatunku ziarna, życzył im wszelkich powodzeń. Lubo zamek dolny z rozporządzenia swego dogodniejszy był do wyprawiania uczty, Jagiełło, pragnąc stosownie do stanu uczcić swą siostrę, na górnym gody jej obchodził i z chlebem i solą wyszedł do bramy na jej spotkanie. Matka zaś, podając córce w jedną rękę garnek nowy, w drugą wrzeciono, na znak obowiązków jej stanu, z temi narzędziami wprowadziła ją na salę.

Czekał już tam u schodów lutnista Sławeńko, przysłany z Trok od księcia Kiejstuta z darem dla panny młodej i powinszowaniem jej postanowienia. Miał oraz polecenie pozdrowić Jagiełłę i przedłożyć mu swój żal, który trapi jego stryja, że dla pogorszonego zdrowia nie mógł sam zjechać do Wilna. Na widok zbliżającej się drużyny, serce młodzieńca mocno bić zaczęło. Wiedział dobrze, że w niej znajdować się musi Pojata, ujrzał ją nawet zdaleka, lecz tłumiąc w sobie niewczesne uczucia, o tem tylko myślał, żeby mógł do pana przystąpić i wytłómaczyć mu cel swego przysłania. Gdy nadszedł książę, młodzieniec skłoniwszy się mu pokornie, składał życzenia Kiejstuta, wystawiając niemożność jego przyjazdu.

— Mniejsza o to — rzekł zimno Jagiełło — gody mej siostry niemniej są godami, mógł nawet obejść się bez przysłania życzeń, które ani pomogą, ani zaszkodzą naszym układom — i postąpił na schody.

— Do czego te żarty? — dodał Wojdyło — książę ma zdrowie polować, a chory, kiedy trzeba zjechać na synowicy wesele, dlatego to, że za biednego Wojdyłę idzie. Gdyby tak za księcia Daniela, znalazłaby się i ochota i zdrowie.

— Pan stryj z nas sobie żartuje — rzekł Skiergiełło — ale potrafimy go wkrótce uzdrowić.— I nie spojrzawszy nawet na smutnego posłańca, poszedł za drugimi.

Zmieszany młodzieniec tak niemiłem przyjęciem, nie wiedział, co ma dalej począć, czy pójść na salę, czy do Trok obrócić. Bolała go bardziej wzgarda dla Kiejstuta i niewdzięczne odrzucenie życzliwości jego, niżeli własna obelga, i byłby pewnie bez pożegnania odjechał, gdyby spojrzenie przechodzącej Pojaty, biorące w podział jego zmartwienie, nie przeważyło szali, poszedł więc za nią tem tylko zajęty, jakby mógł zbliżyć się do jej osoby. Wkrótce w tłumie gości dostał się na salę. Pojata w rzeczy samej żywo uczuła nieprzyzwoitość obejścia się z posłańcem trockim, wszystko więc starała się czynić, co tylko mogło gorycz jego osłodzić, chwaliła księżnej piękność upominków, wymawiała Kiejstuta i skłoniła Aksenę do złożenia mu dzięk najczulszych za dary.

Tak pocieszyła posłańca; zostawiwszy go w tłumie z innymi, złączyła się z towarzyszkami, które szeregiem zajmowały siedzenia. Znajdował się tam w bliskości Jerbut z Trojdanem, otoczony znakomitymi pany, z którymi rozmawiał. Ale nie tak rządcy obecność, jak raczej ciekawość poznania towarzysza jego Trojdana, którego tak pochlebne zalecały wieści, wiodła w to miejsce największą część gości. Umiał też nasz ofiarnik skromną i przyjemną rozmową zajmować słuchaczów. Patrzała na niego Pojata zdaleka, radaby była odezwać się, ale nieśmiałość wstrzymywała jej usta.

Tymczasem do obiadu znać dano. Szli parami goście i podług starszeństwa siadali za stołem, uginającym się pod ogromem srebnych i złotych naczyń, które napełnione były najwytworniejszemi potrawami. Jerbut z Trojdanem, pod opieką księcia Skiergiełły, zajął na uboczu miejsce z innymi, którzy u wielkiego stołu pomieścić się nie mogli. Sławeńko, smutny znowu i nieśmiały, w powszechnym ruchu, który każdy czynił zabierając krzesła, nie wiedział gdzie się obrócić, gdy nagle ujrzał się blisko drogiej swojej opiekunki, Pojaty, która zatrzymawszy dla niego miejsce, dała znak skinieniem, aby je zajął.

— Pani jesteś bóstwem — rzekł uradowany młodzieniec — które nie zapomina nikogo — rzekł do niej z czułością. — Czemuż okazać wdzięczności nie mogę! Dlaczegóż — dodał po chwili, jak gdyby zmieszany tem, co mówił — nie mam szczęścia widzieć w tem zgromadzeniu szanownego jej ojca?

— Mój ojciec cierpi ciągle na oczy. Prócz tego, miał przyczyny, dla których nie chciał być na tem weselu.

— Jeśli mu tylko zechce błogosławić, bogowie szczęścia ślubującym nie ujmą — odpowiedział młodzieniec. — Ale skąd tu jest ten kapłan wymowny, co tak pięknie rozprawia? Głos jego i postać są tak ujmujące.

— Jest to niedawno obleczony w szaty ofiarnika młodzieniec, nie wiem skąd go bogowie zesłali, lecz mój ojciec i wszyscy niezmiernie go chwalą.

— Gdybym miał dar jego wymowy, możebym umiał lepiej dziękować.

— Alboż twe pieśni nie są powtarzane wszędzie? — odpowiedziała dziewica. — Nie uwierzysz, jak mnie obeszło to niegodne ciebie przyjęcie, a nadewszystko ta wzgarda Wojdyły, która wszystkich tak przykro dotknęła.

— Pani! — rzekł żałośnie młodzieniec — i mnie i moim się pieśniom nie wiedzie. Cóż mi z tego, że wszyscy je chwalą, kiedy nie każdy raczy zrozumieć. Co do niełaski Jagiełły i wzgardy Wojdyły, czyż może ona mnie boleć, kiedy Pojata bierze moją stronę?

— Sławeńko, dziś trzeba być wesołym. — Alboż ja na to tu cię posadziłam, żebyś nic nie jadł? Przejechałeś dziś cztery mile, pamiętaj, że niezadługo obiad się skończy. Patrz, oto Jagiełło puhar życzeń spełnia.

Była to właśnie chwila spełnienia zdrowia państwa młodych. Służba zwijała się koło stołu, roznosząc pokrajany korowaj *), gdy dzwięk trąb kilkunastu ogłosił poważne gospodarza życzenie. Szły z rąk do rąk koleją puhary, każdy sadził się na wybór oświadczeń, za które starosta swadziebny w imieniu państwa młodych serdecznie dziękował.

Jaka szkoda — rzekł Sławeńko — że mój dobry pan nie może dzielić tej wesołości! Tak pragnął być na tych godach i ustawnie względem wyjazdu dawał rozkazy, chciał bowiem okazale przybyć do Wilna i pewnieby przybył, bo już się mieć lepiej zaczynał, gdy nagle pora wilgotna znowu rany jego otworzyła. Dwa razy próbował siąść na koń, boleść nóg żadnym sposobem nie dozwoliła jazdy, jeszcze mniej mógł znieść trzęsienie karocy. Niechby o tem przymajmniej pozwolił sobie książę powiedzieć, możeby niebył względem stryja tak niesprawiedliwym. Jak na nieszczęście jeszcze, żaden z synów pańskich nie był w Trokach przytomnym, żeby mógł ojca wyręczyć, możeby umiał lepiej tłómaczyć jego życzenia.

— Będzie o tem wszystkiem wiedzieć Jagiełło — rzekła Pojata — bądz tylko cierpliwym. Czy często książę cierpi tę niemoc?

— Każda prawie zmiana powietrza mniej lub więcej boleść w nim wznieca.

— Biedny starzec! niezmiernie go żałuję, a bardziej jeszcze, że cierpi w tej porze. Ale nie trzeba, abyś mu mówił, jak cię tu przyjęto, boby to mogło pogorszyć jego zdrowie. Już ja biorę na siebie wszystko naprzód księżnej przełożyć.

Sławeńko przyrzekł ostrożność i ciągle Pojatą zajęty, uważał, że często miała oczy zwrócone w stronę w której siedział Jerbut.

— Szczęśliwa strona — powiedział — którą tak często wzrok pani odwiedza.

— Przecież moje oczy, jak i inne — rzekła z uśmiechem — muszą być gdzieś zwrócone.

— Lecz zawsze odwrócone odemnie!

— Źle sądzisz o twoich przyjaciołach — odpowiedziała Pojata — w tym razie jednak wyznaję myślałam o tych dwóch kapłanach, co tam radzi nieradzi puharom, muszą z innymi równą miarę trzymać. Gdyby tu był mój ojciec, oni mniej byliby w tem zgromadzeniu obcymi, a Skiergiełło, nie byłby tak śmiały w naleganiu wznoszenia zdrowia.

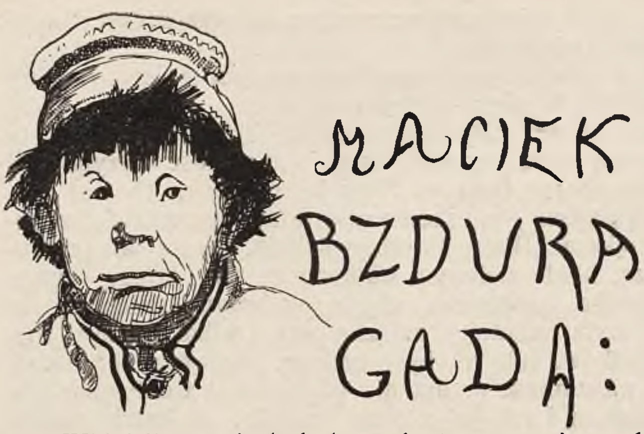
— Prawda — rzekł Sławeńko — pod rządem takiego gospodarza, jak książę Skiergiełło, może sobie ujść najlepsza potrawa, ale za uchybioną czarę pewnieby podczaszy odpowiedział surowo; myślę jednak, że ten młody kapłan, co tak pięknie mówił, potrafi wyjść z chwałą z zastawionych sideł.

W rzeczy samej, Trojdan, mimo natarczywości Skiergiełły, umiał jego pilność oszukać, i kiedy inni, dobrze już podochoceni, wesołą wrzawą napełniali salę, on bynajmniej trunkiem nie ujęty, przypatrywał się różnym postaciom i wylewom serca, które zwykle najszczerzej malują obyczaje narodu i jego sposób myślenia.

---

*) Wiejski placek weselny, ubrany kwiatami i wstążkami.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wkiejsik przyjechoł do mnie ten gazyciarz od *Roli* w odwidziny z miną jakąsi okrutecnie strapioną. Myślałem ze mu baba rozchorowała, albo co, broń Boże, ciele zdechło. Zal mi się go zrobiło i pytom się cego taki kwaśny?

A on pada, ze go ludzie zacynają trochę gniwać, bo — mówi:

— Jak się z ludziami zgadas i pytas się jak sie jem gazyta podoba, to zaraz ci jeden chlaśnie:

— Dobraby była, ino obrazków zamało!

A insy: — Dajecie tyle obrazków, a nie napisecie, gdzieby to mozna dostać maści na wąsy, co mi róść nie chcą.

A trzeci zasie tak gada: — W wasy gazycie to okrutecnie ujadacie na baby, a o chłopach to nic złego nie napisecie, bo ta pies psu ogona nie uzre.

A znowu inny to tak prawi: — Wzięlibyście się raz do tych babów, bo z niemi cłek ani pokurać ni moze. Wy ta ino tak udajecie, ze ich nie lubicie, ale tam w środku, to ja wiem, co wy myślicie.

A znowu insy gada: — Po cobym to pisał, ze tam ktoś kogoś w świecie zabiuł. Cemu nie napisecie, ze mój somsiad Bartek, zeby mógł to by mnie zabił za to, com mu w jesieni miedzy uorał.

A są i tacy, co nom zarzucają, ze w gazycie to drukujewa różne śmiski i zarty a polityki tak maluśko, ze ani dwa dni nima co cytać. Ale za to insy, to huzia na gazyciarza, po co on o polityce babrze w gazycie.

A na przykład Bartek Cholewa, to nam napisał list zeby w gazycie nie było zadnych saradów, bo on sam ma swój rozum, to nicyich radów nie potrzebuje. Choć znowu Wojtek Pluskwa gada, ze on to tak lubi i chciałby, zeby cała gazyta była saradami zababrana.

Jednej śtyrdziestoletniej panience okropnie się nie spodobały zagatki. Ona powiada, ze takich paskudnych rzecy nie powinno się w gazycie drukować. Wszelkie gatki dobre la chłopów, ale zeby o nich w gazycie pisać, to grzych i obraza boska.

Powiadam ci Maciuś, ze znaleźli się tacy niemondrzy ludzie, co powiadają, ześ ty głupi; ale za to z insych stron to chcą, zebyś ty tyle gadoł, coby całą gazytę zadrukować zawse!“

Śmiać mi się chciało z gazyciarza, ze on się tak trapi i powiadam mu:

— „Wis co panie gazyciarzu! Ty rób to, na co cię Matka Boska stworzyła, a ludzie niech se gadają, co się jem rzywnie podoba. Napis jem niech kazdy cyta to, co lubi, a inny moze będzie znowu co innego lubiał, to se przecyta. Przecie ty, panie pon, nie la jednego pises, ino la cały wsi.

A jak das dwie korony to mogę i ja dwa razy tyle gadać, co teraz gadom.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH

Polska w początkach swojego istnienia nie miała jednego pana. Opowiadają stare kroniki, że, gdy na północy rządzili potomkowie Lecha, ku południowi w stronę Karpat, gdzie siedzieli tak zwani Chrobaci, znalazł się mąż nazwiskiem Krakus, który tam sprawował najwyższą władzę i bardzo się wsławił zwycięstwami. Jemu to przypisują, że nad Wisłą w pięknej okolicy założył miasto Kraków, które potem stało się stolicą całej Polski. Przy mieście tem, na górze Wawel, wybudował zamek, zabiwszy wprzód ogromnego smoka, który w tej górze siedział.

O tym smoku opowiadają taką historyjkę:

Smok był to ogromny potwór, który zjadał ludzi i bydło, z czego wielki był strach pomiędzy ludem, a nikogo nie było, ktoby się odważył zabić tego potwora.

Dopiero szewczyk jeden, nazwiskiem Skuba, przyszedł raz do Krakusa i dał mu radę, aby wziąść barana, napchać siarką, zapalić i tak rzucić smokowi. Jak poradził, tak się stało.

Smok połknął barana, siarka zaczęła mu palić wnętrzności. Chcąc ugasić ten ból ogromny, poszedł do Wisły i począł pić wodę. Pił a pił, ale ognia żrącego mu wnętrzności nie zagasił, lecz sam pękł z nadmiaru wypitej wody.

Jamę tę do dziś dnia pokazują i zowią Smoczą jamą.

Ten Krakus, choć poganin, panował sprawiedliwie i dobrze, a dowodem tego wspaniały kopiec, jaki wznosi się niedaleko Krakowa, który lud po śmierci Krakusa własnemi rękami usypał mu z wdzięczności. Nawet dziś jeszcze obchodzą na tę pamiątkę uroczystość „Rękawki“, dlatego, że w rękach i rękawach noszono ziemię na grób dobrego pana.



Krakus.

Zacietrzewienie.

Jedną z największych wad naszego życia społecznego, to jest tak zwane ogólnie zacietrzewienie. Zacietrzewienie jest to upór nierozsądny; jest ono wtedy, gdy człowiek pozna nawet, że błądzi, a jednak ciągle przy swojem obstaje, używa wszelkich wysiłków, aby się na wierzchu utrzymać, choć z góry jest przekonany, że w końcu pokonanym być musi.

Zdarza się ono tak u ludu wiejskiego, jak i w innych stanach, a zdarza się, niestety, prawie codziennie. A oto przytoczę parę przykładów:

Wojciech wyszedł na pole i zobaczył zdala pasące się bydło sąsiada. Zdawało się mu, ba nawet był prawie pewny, że to bydło pasło się na jego ugorze. Rozgniewany pędzi w pole i przekonuje się ku swemu zmartwieniu, że był w błędzie, bo bydło pasło się, ale nie na jego polu. Ale umysł jego gra! Obsypuje więc obelgami syna sąsiedzkiego. Ojciec chłopca ujmuje się za niesłusznie napastowanym chłopcem. Wywiązuje się z tego kłótnia, a z niej skargi i procesy.

Poznał wprawdzie Wojciech, że głupio zrobił, ale zacietrzewienie nie pozwala mu, aby poszedł i przeprosił sąsiada, nie, on owszem powiada:

— Żebym się miał nawet zadłużyć, nie ustąpię, ale i sąsiadowi dobrze kieszeń przenicuję.

Zacietrzewienie to pcha go do coraz nowych awantur, rujnuje moralnie i materyalnie.

Znałem raz dwie rozsądne i stateczne na pozór sąsiadki. Zdawało się, że jedna bez drugiej żyć by nie mogła. Nieszczęście chciało, że jedna z nich kupiła sobie korale — śliczności korale. Druga w tej chwili pognała do miasta i za pożyczane pieniądze sprawiła jeszcze piękniejsze.

Ale na tem nie koniec. Pierwsza nie chciała być przez przyjaciółkę przewyższona i kupiła spódnicę, która na dwa stajania szeleściała, a miała pasy zielone i srebrzyste. Przyjaciółka nie chciała w tyle pozostać i nabyła strój jeszcze droższy.

Każdy tydzień przynosił którejś z sąsiadek nową niespodziankę, zacietrzewienie pchało je coraz dalej i dalej, aż w końcu żydzi nie chcieli kredytować, wobec czego poszła ze stajenki krówka.

Ale po co dawać więcej przykładów, kiedy każdy z nas może ich wiele sam sobie zebrać z codziennego życia. Nieraz wydaje się nam coś drobnostką małą, nic nieznaczącą, ale drobnostka ta pociąga w przyszłości zgubne skutki, których odwrócić wtedy już nie można.

Najlepiej każdy czyn, każde słowo, choćby one na pozór błache się zdawały, najlepiej poprzednio rozważyć, aby potem nie żałować.

Ileż na świecie nieszczęść nieznanych?

Ileż na świecie nieszczęść nieznanych?
Ileż na ziemi łez niewidzianych,
Ileż na ziemi krwawych rozpaczy,
Których nikt nie zna; nikt nie zobaczy?...
Szczęście, to jakby światło ognika,
Ledwo zabłyśnie, a już umyka,
Ledwo zwodniczo gdzieś zamajaczy
I robi miejsce czarnej rozpaczy.
Choć nieraz ludzkie lice się śmieje,
Lecz serce jego strasznie boleje:
Bo twarz to maska — maska dla świata,
A ból i rozpacz z sercem się splata!
Gdybyś mógł zajrzeć w serca głębiny,
Ileż tam nieraz bólów bez winy,
Ileż tam smutków, ile żałoby?!...
Bo serca, jakby boleści groby.
Szczęście, to jakby bańka mydlana.
Ono, gdy z trwogi drżą twe kolana,
Błyśnie na chwilę mgnieniem powieki
I zniknie prędko — często na wieki!

Antoni St. Bassara.

Gdzie jechać za zarobkiem?

Wiosna tego roku wcześnie nadchodzi, to też wielu ludzi z Galicyi już dziś pakuje się i zabiera się do wyjazdu za zarobkami na Saksy, do Danii a nawet i dalej bo do Ameryki, Brazylii i Argentyny. Wśród emigrantów, dążących w kraje zamorskie, przeważają tacy, którzy jadą do Argentyny. Widocznie jacyś agenci umieli tym ludziom wmówić, że znajdą tam dobre warunki, skoro tak wielu tam jedzie. A tymczasem tylu już sparzyło się na dawaniu wiary różnym pokątnym agentom — ale choćby nie wiem jak perswadował takiemu obałamuconemu przez agenta gospodarzowi, że go tam w tej Argentynie nic dobrego nie czeka, to on i tak nie uwierzy, aż się na własnej skórze przekona.

Rząd przestrzegał przed wyjazdem do Argentyny, bo widoki zarobku dla naszych wychodźców są tam bardzo marne. Polacy, mieszkający w Argentynie, nie tworzą zwartych kolonii i jeden daleko od drugiego jest rozrzuconym. Dalej nabywanie lepszych ziem jest bardzo utrudnione a prawie dziś niemożliwe. Chłop, który przyjedzie z Polski do Argentyny, kupić ziemi nie może, bo mu jej nie dadzą, może tylko kawałek wydzierżawić. Kto myśli, że dobrze robi, gdy ziemię w Galicyi sprzeda i pojedzie do Argentyny, by tam kupić sobie kawałek pola, ten się myli.

W Argentynie można znaleźć pracę ale tylko sezonową, to jest podczas żniw. Żniwa wypadają tam na naszą porę zimową, a więc na czas najdogodniejszy dla naszych włościan i robotników rolnych, bo u nas w zimie najtrudniej o pracę. Mogliby więc nasi wychodźcy jechać do Argentyny jesienią a wracać do kraju na wiosnę, to jest w czasie, kiedy u nas rozpoczynają się żniwa i potrzeba rąk do pracy. Na razie jednak droga do Argentyny za drogo kosztuje, żeby opłaciło się jechać tam w jesieni a z wiosną wracać.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne, które zajmuje się i opiekuje robotnikami, wyjeżdżającymi z kraju za zarobkiem, poczyniło już starania, aby uzyskać od kolei zniżki cen biletów do Tryestu, a następnie zniżki cen biletów za jazdę okrętową z Tryestu do Buenos Aires. Jeźliby te zniżki emigranci otrzymali, to wtedy opłaci się emigracya do Argentyny, ale tylko na czas żniw.

Tak, jak dziś sprawy stoją, do Argentyny jechać nie należy.

W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, gdzie dziś otworzyły się już znowu zarobki dla naszych wychodźców, przygotowuje rząd prawo, na mocy którego analfabeci, to jest ci, co czytać i pisać nie umieją, do Stanów Zjednoczonych wpuszczani nie będą.

Dlatego też ci, co chcieliby do Stanów Zjednoczonych wyjechać, niechaj uczą się czytać i pisać. Okazuje się, że Ameryka nie chce mieć u siebie analfabetów galicyjskich.

W Stanach Zjednoczonych dziś o pracę nie trudno, bo fabryki i kopalnie rozpoczęły znowu ruch na wielką skalę i otrzymały wiele zamówień.

Tak, jak każdego roku, najwięcej ludzi jedzie do Prus, bo najpierw jest to najbliżej, a po drugie zapotrzebowanie robotnika z wiosną jest tam wielkie. Ale jak wszędzie, tak i w Prusach robotnik, jadący na robotę, musi wpaść w ręce jakiegoś ajenta, który naobiecuje Bóg wie co, weźmie od niego pieniądze a następnie wystrychnie go na dudka.

Ci, co chcą naprawdę znaleźć robotę w Prusach i nie chcą być oszukani przez ajenta, powinni zgłaszać się przed swym wyjazdem do Polskisgo Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie (ul. Kolejowa), które robotników wysyła nietylko do Prus, ale i do Danii, do Szwecyi i do Francyi, gdzie naszych wychodźców czekają częstokroć daleko lepsze zarobki niż w Prusach.

ŻEGNAJ!

...Więc sprzedaj ziemię i jedź w obce kraje,
Kiedy ci szczęścia w Ojczyźnie nie staje,
Kiedyś tu poznał same łzy i troski,
Kiedy ci nie żal tej ojczystej wioski...
Sprzedaj więc ziemię i jedź za granicę!
Po raz ostatni żegnaj te krynice,
W której się kąpie wieczór księżyc blady...
Żegnaj te kwieciem umajone sady,
Żegnaj te piosnki rodzinne, pastusze,
Co swemi dźwięki upajają duszę;
Żegnaj te łany srebrnem żytem kłośne
I ptoszął naszych śpiewania rozgłośne;
Żegnaj potoków srebrzystych szemrania
I gaj ten, który do nóg ci się kłania;
Żegnaj to słonko ukochane, jasne
I łąki kwiatów, jak dziewoja krasne,
I braci żegnaj a jedź w obce kraje,
Kiedy ci szczęścia w Ojczyźnie nie staje!...
Więc sprzedaj ziemię, cudów tych nie ceniąc,
Tam szczęście zniknie, ale będzie pieniądz!

Antoni Socha.

UCIECZKA STRAPIONYCH.

Zima miała się ku końcowi.

Śniegi, pokrywające ziemię, poczęły topnieć i spływać strumieniami w doliny. Na rzekach pękały lody a wezbrana woda niosła je do dalekiego morza. Tu i ówdzie wystrzelił kwiatek z ziemi, tu i ówdzie zazieleniała świeża trawka.

W lasach i borach ptaszęta rozpoczynały nowe życie, życie wiosenne.

Wszędzie radość i uciecha z budzenia się świata do nowego życia.

A człowiek?... Ludzie rozmaicie: jedni witali nadchodzącą wiosnę wesoło i z zaciekawieniem, jak się wita nieznanego przybysza; inni przyjmowali ją ze smutkiem, bo spiżarnia świeciła pustką, a do nowych zbiorów kęs czasu.

W chacie Szymona wiosna raczej trwogą niż weselem przejmowała. — Żywność, jaka była, miała się ku końcowi, o zarobek w czasie przednowku trudno. A tu do jedzenia ludzi kilkoro. A więc matka staruszka, żona cierpiąca od lat kilku na jakąś duszność piersiową i dzieci troje, z których najstarsze lat dziesięć, a najmłodsze sześć liczyło.



Spoglądał Szymon okiem łzawem na zbliżającą się wiosnę, a rozpaczał w duchu, jak tych najdroższych do nowych zbiorów przeżywi.

Myśli jego były ciężkie i smutne.

Gdy dzień był cieplejszy, wychodził wieczorem drożyną ku kościołowi i tam przy drzwiach wchodowych klękał, aby smutki swoje i żale wyskarżyć przed tronem Najwyższego.

Z wycieczki takiej powracał weselszy i brał się żwawiej do pracy codziennej.

Pewnego wieczora ubrał na siebie swój strój napół pustelniczy, wziął laskę do ręki i pobiegł, jak zwykle przed kościół, aby się tam pomodlić.

Kościół nie był jeszcze zamknięty, więc Szymon wszedł wewnątrz, padł krzyżem przed obrazem Zbawiciela i modlił się długo a rzewnie.

Gdy podniósł się z ziemi i kornym wzrokiem rzucił na twarz Syna Bożego, zdawało się mu, że lice Boże rozjaśnił jakiś uśmiech łagodny, że czytał w Nich spokój i miłość dla ludu. Nabrał przekonania, że Ten Pan Najmiłosierniejszy nie opuści i jego biedaka, ale zeszle mu jakąś pomoc i ukojenie.

Pokrzepiony na duchu, opuścił świątynię i skierował swe kroki ku domowi.

Zmierzch już okrył ziemię na dobre, gdy Szymon kroczył drogą ku swojej chacie. Na niebie błyskały gwiazdy a las zaczął się czerwienić od blasków wschodzącego księżyca.

Po chwili cała przestrzeń, widoczna dla oka, pokryła się srebrnymi jego blaskami, a droga wyglądała, jakby śniegiem ubielona.

Nieopodal swej chaty, może o jakie sto kroków od niej, zobaczył na drodze ciemny przedmiot nieruchomy. Czyżby to było które z dziatek jego? Może być, że biedactwo wyglądało swego ojca, a nie mogąc się doczekać powrotu jego, zasnęło na drodze, głodem i snem znużone.

Przyszedłszy jednak bliżej, spostrzegł, że ów przedmiot, to podróżny kufereczek, który jakiś przejeżdżający musiał zgubić. Podniósł go więc Szymon ze ziemi i pierwsza myśl była, że kufereczek sprzeda a za uzyskane pieniądze, będą mogli żyć wszyscy przez dni parę.

„Same nogi" zaniosły go już do izby. Zaświecił coprędzej kaganek, zbudził żonę i matkę i pokazał im znaleziony przedmiot.

Zdziwione kobiety oglądały go razem z Szymonem ciekawie. Po niedługiej manipulacyi udało im się otworzyć zamek kuferka, nie uszkodziwszy go.

Oczom ich przedstawił się widok niezwykły. W kuferku znajdował się pulares z kilkunastu stówkami, złoty zegarek i czarne „pańskie" ubranie.

Widok ten jednak nie ucieszył tak Szymona, jakby to sądzić było można. On myślał, że znalazł rzecz mało wartającą, a tu tymczasem był w posiadaniu całego majątku.

Zwrócił wzrok na matkę i żonę i zapytał:

— Cóż wy na to?

Staruszka tylko się przeżegnała i ułożyła się napowrót do łóżka, zaś żona jego ze łzawem okiem, rzekła:

— Ot, mnie po niczem nic. Cztery deski i dół poświęcany, to dla mnie wystarczy!...

Szymon jednak tej nocy nie mógł spać. W jednej chwili z biedaka stał się bogaczem. Matka jego staruszka nie zazna głodu; do żony sprowadzi lekarza i wygoni z piersi uporczywą chorobę; dzieciom kupi ciepłe i ładne ubrańka. Wszak to sam Pan Jezus, wysłuchawszy próśb jego, zgotował mu takie szczęście.

Ale sumienie odpowiadało w tej chwili: Znaleźć może każdy, ale kto znajdzie, a nie odda, ten równy złodziejowi!

Długo w noc nie mógł zasnąć biedny Szymon. Tysiące myśli pchało mu się do głowy. Jedne mówiły, aby znalezione rzeczy zatrzymał, lecz drugie, a tych było więcej, stanowczo odrzucały ten zamiar.

Nareszcie Szymon postanowił: Znaleziony kufereczek odniesie do księdza proboszcza, a ten naj-

lepiej mu poradzi, co ma zrobić. Powziąwszy takie postanowienie, zasnął snem twardym i spokojnym.

Na drugi dzień udał się na plebanię, a opowiedziawszy księdzu swoje wczorajsze myśli, dodał:

— „Wczoraj namyślałem się, co zrobić — dziś wiem, że obowiązkiem każdego chrześcianina jest znalezioną rzecz oddać. Nie wiedząc, kto zgubił ten kufereczek, przyszedłem prosić księdza proboszcza o pomoc w wyszukaniu właściciela.

Ksiądz proboszcz pochwalił uczciwość Szymona, a uścisnąwszy jego dłoń, pożegnał serdecznie.

Szymon z jakiemś lekkiem sercem udał się do kościoła, aby Zbawicielowi podziękować za to, że przy Jego pomocy pozostał uczciwym człowiekiem.

Twarz Pana Jezusa zdała się mu teraz jeszcze bardziej rozpromieniona, niż kiedyindziej, a wzrok tak miły i pociągający, że Szymon ukląkł na stopniach ołtarza i głowę swą wsparł na piersi Chrystusa. Złożywszy ręce do modlitwy, cały w niej zatonął, tak, że nie spostrzegł, jak chwile szybko mijały. Czy to była rzeczywistość, czy tylko uniesienie ducha, lecz był pewny, że Chrystus ujął go swymi rękami i tulił do piersi swojej.

Doznawał wtedy uczucia, jakby sam Bóg zstąpił z nieba na ziemię, aby przypatrzyć się jego niedoli i obetrzeć łzą zroszone oko. W uniesieniu zapomniał o troskach swoich i strapieniach i jedna tylko myśl przejmowała go całego, to jest, aby tu pozostać jak najdłużej, aby stąd nie wychodzić nigdy. Zdawało się mu, że jest pod jakąś niewidzialną opieką, która mu nie da krzywdy zrobić, ale wyrwie z niedoli i kłopotów. O jakże czuł się szczęśliwym i zadowolonym, że tu przyszedł po ukojenie i nadzieję, po szczęście i radość.

Ale czas było wracać do domu, czas rozstać się z Tym, który kres jego utrapieniom położył?

Ożywiony i weselszy powracał Szymon do domu. Zdaleka zobaczył przed chatą piękny powóz, zaprzężony w cztery rosłe konie. Zdziwiony, nie wiedząc, coby to znaczyło, wszedł do domu, gdzie zobaczył jakiegoś, znać bogatego pana, siedzącego na ławie pod oknem.

Pan ów, zobaczywszy wchodzącego Szymona, wstał z ławy, a ściskając dłoń jego spracowaną, rzekł:

— Kufereczek, który mi przed chwilą oddał ksiądz proboszcz, był moją własnością. Zgubiwszy go wczoraj, wysłałem zaraz na poszukiwania, ale bezskutecznie. Dziś zaraz udałem się do waszego księdza proboszcza, aby ogłosił z ambony o zgubie, tymczasem zguba była już u niego. Nie taką wartość miały dla mnie pieniądze, będące w nim, jak ważne papiery. Ty uczciwy człowieku będziesz odtąd moim przyjacielem.

Pan ów zabawił w chacie Szymona jeszcze czas dłuższy, w czasie czego namówił go, aby chatę swoją sprzedał, a sam z całą rodziną przeniósł się do niego, gdzie da mu stałe zajęcie.

Szymon chętnie zgodził się na uczynioną propozycyę. Pan ów powierzył mu najpierw nadzór nad służbą, a gdy nabrał dalszych dowodów jego uczciwości, oddał mu w zarząd jeden z folwarków.

Odtąd i matka staruszka nie zaznała głodu i żonę wyleczyli lekarze z trapiącej ją choroby i dzieciom nie brakło nigdy ciepłych sukienek.

Ant. St. Bassara.

Wzrok ofiary.

XII. U tandeciarki.



Naczelnik policyi dał inspektorowi kilka zleceń. Nie odnosiły się one już do sprawy Dantina, lecz do całkiem zwykłego wypadku włamania, które spełniono w sklepie jakiegoś handlarza win. Zbrodniarz ukrywał się podobno gdzieś w jednym z zaułków Paryża.

Bernadet ruszył w drogę. Tym razem obowiązek powoływał go w stronę hal targowych. Znający go przechodnie zwykle umykąli szybko pod wpływem badającego spojrzenia tego otyłego człowieka. Strach, jakim ich napawał, ogromnie cieszył inspektora policyi. Bernadet szedł powoli, rozglądając się niepostrzeżenie na wszystkie strony i nie myśląc wiele o włamywaczu, którego polecono mu śledzić... Przecież to była drobnostka... Za to z zajęciem zatrzymywał się często przed wystawami handlarzy i przed oknami księgarń.

Na jednej z ulic zwrócił jego uwagę sklepik tandeciarza ze szyldem „Antykwarnia". Pomiędzy starą, zardzewiałą bronią, częściami mundurów, bezwartościowymi zamkami, zczerniałymi od dymu obrazami, pomiędzy stosem starych książek, wśród całej kupy rozrzuconych dokoła przedmiotów, talerzy, sprzączek od pasów — leżały w wielkiej skrzynce fałszywe medale i wycofane z obiegu monety miedziane. Po obu stronach tego ciemnego sklepu wisiały długim rzędem brudne mundury, bluzy żołnierskie, suknie po nieboszczykach.

Bernadet nie długo zastanawiał się nad „znikomością rzeczy ludzkich". Natomiast był ogromnie ciekawy i dlatego sklep, który tak bardzo różnił się od innych, jakie widywał, niezmiernie go zajął, Wskutek jakiegoś osobliwego pociągu, zajął się nagle z całą uwagą obrazkiem, wiszącym wśród tych wszystkich przedmiotów. Obraz ten dziwnie odbijał od nich. Był to okrągły portret bez ram.

— Ach! — rzekł Bernadet prawie głośno — to doprawdy zadziwiający przypadek!

Pochylił głowę i prawie uderzył nosem w zimną szybę okna.

Ten obraz małoco większy od ręki, był portretem jakiegoś mężczyzny. Bernadetowi wydało się na pierwszy rzut oka, że rozpoznaje osobę, jaką portret przedstawia.

— To zadziwiające — powtórzył.

Ponieważ cień jego postaci padał na okno, więc nie mógł z tak bliskiej odległości rozpoznać dokładnie rysów portretu, jakkolwiek z oddali widział je bardzo dobrze. To też odsunął się nieco na bok, aby światło lepiej mogło dochodzić.

Tak, nie ulegało to żadnej wątpliwości; obraz, jaki widział przed sobą, był portretem Jakóba Dan-

tina, oskarżonego teraz o morderstwo. Było to tosamo wyniosłe czoło, tasama energiczna, prawie zuchwała postawa; ostro zakończona broda, tejsamej barwy, co u aresztowanego, czarny, długi surdut, zapięty na wszystkie guziki od góry do dołu. Bernadet wskutek ciągłego zajmowania się fotografią amatorską, przywykł wyszukiwać przedewszystkiem zupełne podobieństwo; na obrazie było ono wprost doskonałe; zdawało się, że Jakób Dantin żyje.

I im dłużej się wpatrywał, tem dokładniej to widział. Dantin stał jak żywy przed jego oczyma. A chociaż Jakób Dantin wydawał się na portrecie znacznie młodszy — na brodzie nie było ani jednego siwego włoska — mimo to podobieństwo było tak wymowne, że zdaleka już wpadło Bernadetowi w oczy. Wtedy to zdziwiony, zakłopotany przypadkiem, zawołał sam do siebie;

— Tak, to on! Ale jakim sposobem dostał się ten obraz do sklepu tandeciarza, skąd nabył go właściciel.

— Zapewne nie zbyt trudno będzie otrzymać wyjaśnienia — pomyślał.

Inspektor otworzył drzwi sklepu i znalazł się nagle naprzeciwko dużej, bladej, wyniszczonej kobiety, której głowę okrywał koronkowy czepiec; ramiona miała okryte szalem z białej wełny. Kobieta nosiła okulary.

Bernadet powitał ją i wskazał na portret, który chciał obejrzeć dokładniej.

Gdy go już' trzymał w ręku, podobieństwo wydawało mu się jeszcze doskonalsze. Ten obraz przedstawiał istotnie Jakóba Dantina i był malowany na drzewie. — Okrągła rama, której widocznie brakowało, pozostawiła ślady na powierzchni; znać było, że obraz wyrwano z ram gwałtownie, w pewnem miejscu zarysowało się nawet drzewo pod powłoką farby, prawdopodobnie od ostrego gwoździa.

— Czy masz pani już dawno ten obraz? — zapytał Bernadet, przyglądając się uważnie kupcowej.

— Dopiero dzisiaj wystawiłam go pierwszy raz na widok publiczny — odparła kobieta w białym czepcu.

— A skąd masz pani ten portret? — pytał dalej inspektor pozornie obojętnym głosem.

— Kupiłam go od jakiegoś człowieka, któremu widocznie nie był potrzebny. Czy znasz pan osobę, którą ten portret przedstawia?

— Nie, nie znam jej, ale jest bardzo podobna do jednego z moich bliskich krewnych. Dlatego obraz bardzo mi się podoba. Ileż kosztuje?

— Sto koron.

— I to ma już być ostatnia cena? Zdaje mi się, że obraz ten wart jest raczej dwadzieścia centów, aniżeli dwadzieścia koron.

— Co takiego? — zakrzyknęła kupcowa z oburzeniem. — Co? ten obraz? Ależ obejrzyj pan tylko dobrze. Jestem prawie pewna, że przedstawia jakiegoś znakomitego człowieka...

— Bądź co bądź sto koron to dla mnie za drogo... A od kogóż go pani nabyła?

Handlarka podeszła do swego biurka, otworzyła szufladkę i wyjęła podłużną książkę, w której zapisywała codzienne notatki. Zaczęła szukać.

— 12-go listopada... mały, okrągły obrazek... kupiony od... od... Karol... Karol Breton... mieszka... Ulica Kondamin liczba 16.

— Karol Breton — odpowiedział Bernadet. — Któż to jest ten pan, Karol Breton? Chciałbym się chętnie dowiedzieć, jakim sposobem można było sprzedać ten obraz, który jest przecież widocznie portretem rodzinnym?

— Ach, widzisz pan — rzekła kupcowa — to się tak bardzo często dzieje. Tak już zawsze bywa w handlu! Sprzedaje się, kupuje... Wszystko z małym zyskiem.

— Ileż lat mógł liczyć ten człowiek?

— Był jeszcze młody, nie miał więcej, jak trzydzieści lat. Przystojny, młody człowiek, z ciemną bródką.

— Czy nie zauważyła pani nic szczegółowego w jego osobie?

— Nic — odparła handlarka już zagniewana.

Drażniły ją te pytania, zadawane tonem badawczym; Bernadet zauważył jej zachowanie i dlatego zaczął mówić z uśmiechem przyjaznym, łagodnym, ojcowskim głosem:

— Nie chcę dłużej wprowadzać pani w błąd; jestem inspektorem policyi. Obraz, jaki znalazłem u pani, ma szalone podobieństwo do jednego z przestępców, którego trzymamy obecnie pod kluczem... Zrozumie więc kochana pani łatwo, że jest dla mnie niezmiernie ważnem dowiedzieć się o tem, skąd ten obraz pochodzi.



— Powiedziałam przecież panu, kto go sprzedał — odpowiedziała kupcowa. Zapłaciłam za obraz dwadzieścia koron. Oto moja książka kasowa, zobacz pan, bardzo proszę, zobacz pan sam, wszystko w największym porządku. Nasz zakład jest nawskróś uczciwy. Ani mój, świętej pamięci nieboszczyk mąż, ani ja, nie byliśmy nigdy wmieszani w niepewne sprawki. Wprawdzie żyjemy w brudzie i kurzu tandety, ale mamy czyste ręce i czyste sumienie. Zapytaj pan, kogo chcesz, na całej ulicy o wdowę Colar, nie jestem winna nikomu ani grosza, wszyscy oddają mi należny szacunek...

I wdowa Colar byłaby jeszcze długo mówiła bez przerwy, gdyby Bernadet nie był jej przeszkodził. Ale inspektor policyi zapobiegł nareszcie upustom jej wymowy.

— Nie obwiniam pani bynajmniej, dobra pani Colar i nie mam żadnej ukrytej myśli poza tem, co mówię. Nie podejrzywam pani wcale o chęć ukrywania czegośkolwiek i nie wątpię w uczciwość pani. — I oto na dowód powtarzam moje pierwsze zapytanie: ile żądasz pani za ten portret?

— Dwadzieścia koron, jeźli chcesz go pan nabyć, ja sama zapłaciłam tyle za niego. Jeszcze by tego brakowało, abym miała z tego powodu nieprzyjemności. Zabierz go pan sobie nawet zadarmo, skoro tak panu na nim zależy.

— O, na to się nie godzę; zapłacę pani za niego. Czemu się tak gniewać kochana pani Colar!

Tandeciarka doznawała obawy przed policyą. Obecność ajenta w jej sklepie wydawała się jej zbezczeszczeniem dobrego nazwiska, a równocześnie groźbą. Czuła, że ją podejrzewają i dokładała wszelkich starań, aby wykazać swoją niewinność.

Wiecznie uśmiechnięty i dobroduszny Bernadet próbował ją uspokoić, przedstawiając swe życzliwe zamiary.

Nie chodzi tu przecież o nią, twierdził, przeciwnie pomaga ona policyi i może w znacznej mierze przyczynić się do tego, aby winnego spotkała zasłużona kara.

Ale to oświadczenie na nowo ją zaniepokoiło. Czy może wreszcie zechcą ją uważać za dnosicielkę? Nigdy nie zajmowała się podobnemi sprawami. Wcale nie znała tego młodego człowieka. Kupiła od niego obraz, podobnie jak kupuje od wielu innych najrozmaitsze przedmioty.

— Wiecznie miałabym wyrzuty sumienia, gdyby ten człowiek przezemnie zginął na szafocie za to, że miał do mnie zaufanie i przyszedł do mojego sklepu.

— Ależ tu wcale nie o to chodzi, aby tego pana Karola Breton zaprowadzić na szafot. Ani przez chwilę nie pomyślałem o tem.

Potem zaś wypytywał dalej:

— Chciałbym tylko wiedzieć, co on za jeden, ten Karol Breton i skąd przyszedł w posiadanie tego obrazu. A więc jeszcze raz pytam, czy nie zauważyła pani nic szczególnego w jego ubraniu, w jego zachowaniu się?

— Nic — odparła pani Colar.

Nagle zamyśliła się

— A jednak... to naprawdę zwróciło moją uwagę. Kształt jego kapelusza. Kapelusz z szeroką kryzą, podobny, jak noszą przybysze z Ameryki południowej, rozumiesz pan, taki kapelusz, który nazywa się „sombrezo"... To jedyny szczegół, jaki zauważyłam... Przyszło mi zaraz na myśl, że człowiek ten musiał przybyć z daleka.

Inspektor słuchał z niezmierną uwagą; utkwiwszy wzrok w twarzy pani Colar i porównywał w myśli tę nową wiadomość z pewnemi zeznaniami pani Moniszowej o cudzoziemskim gościu, którego widziała w mieszkaniu Rowera, podobnie jak kobietę w żałobie.

— Zapewne jakiś współwinny — pomyślał policyant.

Wreszcie zapytał jeszcze raz tandeciarkę o cenę obrazu.

— Czego pan żądasz? — zawołała pani Colar, ciągle jeszcze przerażona.

Bernadet uśmiechnął się dobrotliwie.

— A więc, kochana pani, podzielmy postawioną na wstępie cenę, czy dobrze? Pięćdziesiąt koron? Zgadza się pani na pięćdziesiąt koron?

— Dobrze, niech będzie. Oddałabym panu za darmo, byleby się pozbyć tego portretu.

Bernadet zapłacił i dodał, że pani Colar zostanie może zawezwana przed sędziego śledczego. Wreszcie powtórzył wszystko, co usłyszał od niej o Karolu Breton, aby sprawdzić, czy pamięta wszystkie szczegóły.

— Mimo najlepszej chęci nie mogłabym panu powiedzieć więcej ani jednego słowa, gdyż sama nie wiem nic więcej — oświadczyła czcigodna wdowa.

Zawinęła obraz w bibułkę, potem w gazetę. Bernadet wyszedł i poszedł na ulicę Rondemin, uradowany kupnem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Do Czytelników! Wszystkich tych, którzy otrzymują *„Rolę"* a dotychczas prenumeraty nie nadesłali, prosimy usilnie, aby zrobili to jak najprędzej, byśmy mogli nakład nasz uregulować.

Przyjaciół pisma naszego prosimy bardzo, aby *„Rolę"* rozpowszechniali wśród znajomych i jednali nam nowych prenumeratorów, gdyż przez to będziemy mogli pismo ulepszać i rozszerzyć. Wszak gazety polskie w Poznańskiem liczą po kilkadziesiąt tysięcy prenumeratorów, podczas gdy u nas tak mało czytających.

Koło polskie przez dwa dni obradowało nad sytuacyą w Radzie państwa i swoim stanowiskiem do różnych stronnictw. Uchwalono jednogłośnie, by dążyć do ustaleniu programu pracy w Radzie państwa i opartej o ten program prac parlamentarnych zmiany ministrów dotychczasowych. Koło polskie spodziewa się, że po świętach Wielkanocnych nowy gabinet będzie już ułożony.

Z Rady państwa. W ubiegły czwartek d. 24 lutego zebrała się w Wiedniu Rada państwa. Już pierwsze posiedzenia wykazały dobre skutki uchwalonej w grudniu reformy regulaminu obrad, która nie dopuszcza do takich wybryków i uniemożliwiania obrad, jak to miało miejsce dawniej przy starym regulaminie. Rząd przedłożył parlamentowi ustawę o kontyngencie rekruta, którą parlament załatwił we wszystkich czytaniach. W ten sposób asenterunki będą się mogły odbyć już w ciągu marca, a więc przed rozpoczęciem robót w polu. Minister obrony krajowej powiedział posłom, że rząd wygotował już projekt ustawy, zaprowadzającej dwuletnią służbę wojskową. Ustawa ta mogłaby już wejść w życie, tylko Węgrzy jej na razie uchwalić nie chcą.

Korony dla cudownego Obrazu Jasnogórskiego. Sprawa ceremonii przewiezienia dwóch ofiarowanych przez Ojca św. koron dla cudownego obrazu na Jasnej Górze została już załatwiona i korony w pierwszych dniach marca będą przewiezione z Rzymu do Częstochowy. Przyjazd dygnitarzy kościelnych z koronami do Granicy spodziewany jest w dniu 8 marca i w dniu tym wyruszą delegaci klasztoru Jasnogórskiego i zaproszeni obywatele do Granicy celem powitania wysłanników papieskich. W uroczystości tej wezmie udział także reprezentant rządu rosyjskiego i zastępca gubernatora piotrkowskiego.

Trzygodzinny pojedynek. Mimo, że cały świat kulturalny zwalcza pojedynki jako objaw barbarzyństwa i występek przeciw moralności chrześcijańskiej, nie brak jeszcze takich, którzy niejednokrotnie z powodu błahej sprawy wyzywają się na pojedynek. Jeden z głośniejszych pojedynków miał miejsce w Paryżu przed kilku dniami. Do walki na szpady stanął jeden przemysłowiec paryski i margrabia, będący oficerem w wojsku hiszpańskim. Trafił swój na swego — jak to mówi przysłowie — bo przez 3 godziny nacierał jeden na drugiego, a mimo to żaden żadnego szpadą dostać nie mógł. Trzynaście razy składali się zażarci przeciwnicy, lecz bez rezultatu krwawego. Dopiero w czternastem złożeniu oficer otrzymał ranę i nie mógł już dalej walczyć. Wprawdzie obaj następnie się pogodzili, ale każdy przyzna, że byłoby daleko lepiej. gdyby bez rozlewu krwi podali sobie ręce.

Widmo w zamku Rydzyńskim. Jeden bardzo sławny pisarz powiedział, że „są rzeczy na świecie, o których się filozofom nie śniło". I rzeczywiście człowie spotyka się nieraz z takiemi zjawiskami, których rozumem swym wytłómaczyć nie potrafi. Na dowód przytaczamy wypadek, o jakim opowiadają gazety polskie w Poznańskiem.

W zamku Rydzyńskim jest kaplica, przed kaplicą pokój, a w tym pokoju obraz kobiety. Kto jest ta kobieta, kto ją malował, zawiesił, skąd się wzięła w zamku, nikt tego nie wiedział i nikt wiedzieć nie będzie. Obraz ten niema nic uderzającego w sobie, oprócz surowego nieco spojrzenia i ręki jednej, nienaturalnie jakoś położonej. Palce tej ręki zdają się jakby przesilone, skościałe, po jakimś czynie gwałtownym, może zbrodniczym. O nic łatwiej wprawdzie, jak o domysł podobny, w którym zapewne i cienia prawdy niema: tu przecież prędzej wypatrzyćby go można; stara bowiem i głucha wieść krążyła tu kiedyś, jakoby przed niepamiętnemi czasy w miescu tem jakaś zbrodnia spełnioną być miała. Mówiono nawet o dwóch sierotach, ale z taką niepewnością i ciemnotą rzeczy, że nikt prawie wiary temu nie dawał. Rzadko więc i bardzo rzadko o tem mówili ludzie, byliby nawet wiecznie zamilkli, gdyby widmo ukazującej się niekiedy w zamku kobiety nie wywoływało czasami z pamięci tej bolesnej powiastki.

Widmo to nie kłóci tak nielitościwie spokojności, jak się to gdzieindziej dzieje. Spotykają je tylko niekiedy klęczące na korytarzu i zatopione w modłach; gościom nawet nocującym w przykaplicznym pokoju, cichem tylko stąpaniem przypomina się o północy, jednakże snu drobnych dziatek i niewiast nigdy nieprzerywa, jakby względne na wrodzoną ich lękliwość. Jest przecież w każdym roku jedna noc straszliwa, okropna, której nikt w zamku przespać nie może; tych nawet co nic nie widzą, niesłyszą, o niczem niewiedzą, porywa jakaś gorączka niespokojności; zdaje się, że coś nadzwyczajnego przeczuwają w naturze. Przez całą tę noc, choć niebo wkoło jest jasne i pogodne, zawsze się waży nad zamkiem jakiś obłok czarny, a pobliższe drzewa ogrodu, choć żadnym niewzruszone wiatrem, dziwnie szeleszczą. Już od jedynastej godziny słychać jakiś szum i łoskot w kaplicy, jakieś wyraźne chodzenie i ustawianie sprzętów. Kryje się służba zamkowa, śmielsi tylko bliżej przystępują i zaglądają. Twarze ich przecież bledną, wznoszą się włosy, całe powietrze zda się jakąś nasiąkłe okropnością.



Uderza północ. Roztwierają się same przez się drzwi kaplicy, zapalają się świece na ołtarzu, lecz jakiemś dziwnem, bladem, błękitnem światłem. Widmo kobiety w białej i długiej szacie, z rozpuszczonemi włosy, wywiędłem boleścią obliczem, klęczy przed ołtarzem. Nagle zimno grobowe uderza w koło; ukazuje się kapłan w ornacie idący ze mszą świętą. Okropny widok!... Kapłan ten jest kościotrupem... głowa jego trupią, ręce kielich niosące kościami tylko; poprzedzają go dwa małe szkielety w komżach, jeden z nich niesie ampułki, drugi mszał ogromny. Zaczyna się msza święta, kapłan składa i rozkłada ręce, obraca się przyklęka, czyta w mszale, gorąco się modli; dwa małe szkielety zdają się modłom jego odpowiadać, żaden przecie głos, żadne westchnienie dosłyszeć się nie daje. W chwili tylko podniesienia ciała i krwi pańskiej, głuchy odgłos kościanego dzwonka głębokie przerywa milczenie. Kończy się obrzęd. Kapłan kościotrup odchodzi od ołtarza i rozpoczyna spowiadać owo widmo — niewiastę. Ileż to łez i westchnień przerywa tę spowiedź! Wielki Boże! jakżeż straszliwem musi być wyznanie tego widma, jaka zbrodnia jego. Patrz! Patrz! po trupiej czaszce kapłana zimny pot zlewa się strumieniem, w wydrążonych oczach błyska płomień oburzenia, wiszący obraz kobiety cały czernieje, jakiś głuchy grzmot daje się słyszeć nad zamkiem!... Drobne dwa szkielety, klęcząc i modląc się, zdają się błagać za winną. Wyznała już wszystko i schyla głowę i bije się w piersi na znak żalu i skruchy. Bije silnie — płacze i czeka. Czeka chwil kilka, wreszcie podnosi na kapłana wzrok błagalny i mówi:

— Przebaczenia! — A kapłan jej grobowym odpowiada głosem:

— Nie w tym roku jeszcze!...

— I kiedyż, kiedyż?... odzywa się widmo, — lecz kapłan milczy. Wskazuje jej na dwa klęczące szkielety — znika — gasną świece, zamykają się drzwi kaplicy — jęk tylko słychać za niemi i naraz nastaje cisza i ani śladu tego, co przed chwilą było.

Jak to trzeba w życiu uważać na czyny nasze, gdyż nie wiemy za co, i jaka kara spotkać nas na tamtym świecie może.

Bandyci w Chrzanowie. Z Chrzanowa donoszą, że do tamtejszych aresztów policyjnych odstawiono onegdaj trzech aresztowanych tam na dworcu kolejowym podejrzanych ludzi. Przy aresztowanych znaleziono nabite rewolwery, sztylety i boksery. Przy aresztowaniu stawili gwałtowny opór żandarmeryi i tamtejszemu inspektorowi policyi. Zachodzi przypuszczenie, że są to sprawcy większej kradzieży, spełnionej niedawno koło Hruszowa.

Bułgarzy chcą wojny. Wśród ludności południowej Bułgaryi panuje ogromne wzburzenie przeciw Turcyi. Bułgarscy oficerowie prą do wojny i oświadczają że w sztabie generalnym wypracowane są już wszystkie plany, potrzebne do wojny, i że powinno się obecną korzystną sposobność wyzyskać.

Donoszą też, że krwawe starcia na granicy bułgarsko-tureckiej, rozpoczęte przed kilku dniami, ponawiają się coraz częściej i mogą spowodować wojnę między Bułgaryą a Turcyą.

Wykolejenie najszybszego pociągu. Tam gdzie pociągi kursują z szaloną szybkością, jak naprzykład w Anglii i Ameryce, katastrofy kolejowe są na porządku dziennym. Przed tygodniem wykoleił się w Anglii najszybszy pociąg, jaki tylko w tem państwie istnieje. — Przyczyną wykolejenia było osunięcie się ziemi na tor. Lokomotywa i kilka wagonów wyskoczyło z szyn i wpakowało do morza, koło którego tor przechodził. Na szczęście morze było w tem miejscu dość płytkie i wpadnięcie wagonów do morza nie pociągnęło za sobą zbyt groźnych skutków. Wprawdzie podróżni mieli przymusową kąpiel, jednakowoż woda osłabiła siłę upadku wagonów, tak, że z wyjątkiem kilku osób ciężko i lekko rannych, reszta zdołała cało wyjść z katastrofy. Przy pomocy siekier rozbito ściany wagonów i wyciągnięto z wody przemokłych i wystraszonych podróżnych.

Miła pochwała. Pisaliśmy w nrze 8 *Roli* o przybyciu do Czikago delegata Banku Ziemskiego w Łańcucie p. Adolfa Pasterza. O Banku tym tak pisze największa gazeta polska wychodząca w Chicago, w Ameryce: *Dziennik Związkowy Zgoda :* Bank Ziemski w Łańcucie, to instytucya, ciesząca się w Galicyi jak najszczerszem uznaniem. Założona w celach parcelacyi majątków, zdanych na zagładę, ratuje je przed wpadnięciem w ręce obce, najczęściej wrogie, nic z interesami kraju i społeczeństwa nie mającymi wspólnego. Dotychczasowa działalność Banku Ziemskiego w Łańcucie, którego prezesem Rady nadzorczej jest młody, a nadzwyczaj utalentowany i pracowity poseł Dr. Jan Hupka, zaś jednym z dyrektorów zasłużony poseł Bolesław Żardecki, ma chlubne karty, na które powołać się może każdej chwili, i które zdobywają mu nie tylko zaufanie, ale liczną klientelę. Bank powyższy przyjmuje bowiem wszelkie depozyty, przeprowadza wszelkie transakcye finansowe, spadkowe, realnościowe a ostatnio, widząc i słysząc ogromnie dużo o strasznych nadużyciach, jakich się w Ameryce dopuszczają na mniej przezornych Polakach różni bankierzy z tytułu tylko przybranego dla naciągania ludzi, postanowił działalność swą rozszerzyć w pewnych granicach i na stany Zjednoczone, a zwłaszcza tam, gdzie brak jest solidnych banków polskich.

W tym też celu wysłał Bank Ziemski w Łańcucie do Ameryki swego delegata w osobie p. Adolfa Pasterza, który na specyalnie zwoływanych przez siebie zgromadzeniach objaśnia bliżej interesujących się tą sprawą, o funduszach banku, jego obrotach, jego działalności w szczegółach, dalej o jego zasługach już położonych i o jego wielkiem znaczeniu dla polskości jako instytucyi, która chroni ziemię polską, nie puszcza jej do rąk niepowołanych, ale parceluje między chłopa polskiego, tę nadzieję polskości, w którym pokładamy całą przyszłość.

Miło to czytać, gdy instytucyę polską, tak chwalą Polacy na obczyźnie, Najlepszy to dowód, że każda uczciwa i sumienna praca musi znaleźć uznanie.

Biskup katolicki na Syberyi. Do tej pory nie ma na Syberyi biskupa katolickiego. W najbliższym czasie dzięki staraniom Ojca świętego utworzoną będzie w mieście Omsku katolicka katedra biskupia.

Kara na miejscu. W pewnej miejscowości, położonej na granicy węgiersko-rumuńskiej było niedawno zdarzenie tragiczne, nie pozbawione jednak przy tem humoru. W pobliżu tej miejscowości ułożyła się obozem banda cygańska. Nocami wychodziła z obozu na łup, zabierając, co tylko wpadło jej w ręce.



Jednej nocy wtargnęła owa banda do apteki. Tam pozabierała różne lekarstwa i udała się do swych namiotów. Cyganie rozpoczęli tu ucztę, racząc się skradzionemi lekarstwami, gdyż mniemali, że to są jakieś soki, lub inne napoje. Niektóre smakowały im bardzo, ze względu na swój smak słodki. Ale między lekarstwami były i takie, które okazały się trującemi.

Trucizny te sprawiły, że łakomi cygani-złodzieje zostali ukarani na miejscu, gdyż kilkanaście osób zachorowało, a kilka wśród najokropniejszych męczarni zmarło tej samej nocy.



Ratunek był bardzo utrudniony z tego właśnie powodu, iż w aptece nie było potrzebnych lekarstw, które przywołany lekarz zapisał, gdyż je już przedtem cyganie powypijali. Łakomstwo i kradzież zostały na miejscu ukarane.

Prusacy katują dalej dzieci polskie. Nie ma dnia, aby gazety poznańskie nie donosiły o znęcaniu się Prusaków na dzieciach polskich. A oto nowy przykład, o jakim donoszą z Minikowa pod Poznaniem:

Za przekroczenie prawa chłosty stawał w sądzie Maks Küssner z Minikowa pod Poznaniem. Oskarżony, będący w urzędzie od 1891 r., a w Minikowie nauczycielem od 1909 r., sponiewierał cieleśnie uczennicę Stanisławę Olejniczakównę 14, 16, 19 i 21 sierpnia r. z. Za katowanie dzieci był już czterokrotnie karany dyscyplinarnie grzywnami, z zagrożeniem odjęcia mu prawa karania i procesu karnego. Oskarżony tłumaczył się że wskutek częstej zmiany nauczycieli, nie mogących podołać swym obowiązkom z powodu znacznej liczby dzieci (144), dzieci te zdziczały tak, że tylko za pomocą surowych środków można je trzymać w karności. Co do Olejniczakówny, nabrał przekonania, że „rozmyślnie“ wzbraniała się odpowiadać na pytania w niemieckim języku. Dnia 14 sierpnia wymierzył dziewczynce na nauce rachunków 4 „łapy“ na jedną i 8 „łap“ na drugą dłoń, 16 tegoż miesiąca na nauce religii 6 policzków całą dłonią. Na zapytanie sędziego, czy policzkowanie uważa za odpowiedni i dozwolony środek wychowawczy, odpowiedział Küssner, że w n i e m i e c k i c h k s i ą ż k a c h d o c z y t a n i a p o l i c z e k z a c h w a l a s i ę j a k o o d p o w i e d n i ś r o d e k w y c h o w a w c z y.

Dalej dnia 17 sierpnia przy nauce czytania wymierzył tejże dziewczynce wielką liczbę razów kijem brzozowym tak, że kij się połamał. Podobną chłostę otrzymało dziewczę 19 sierpnia. Dnia 21 miał oskarżony wymierzyć 18 do 20 uderzeń kijem a kilka uderzeń pięścią w głowę. Zbił ją dlatego, że nie umiała pokazać na mapie rzeki Warty. Dziewczyna była po tem skatowaniu kilkanaście dni obłożnie chorą.

Oskarżony przyznał się do takich chłost nieludzkich Radca szkolny Brandenburger zeznał, że dzieci w Minikowie nie były tak niesforne, jak oskarżony przedstawił. Wymierzone chłosty były nadmierne i nie zawsze sprawiedliwe. Ośmioro dzieci, jako świadkowie, stwierdziło jednozgodnie przytoczone przypadki chłosty..

Lekarz dr Szulc znalazł ramiona, łopatki i plecy dziewczynki okryte sińcami i miejsca krwią nabiegłe; lewe ramię było tak napuchłe, że nie mogła władać niem cztery tygodnie.

Prokurator uznał oskarżonego w całej pełni winnym sponiewierania. Wniósł o ukaranie oskarżonego

200 markami grzywny lub 20 dniami więzienia. Po dłuższej naradzie wydał sąd wyrok, brzmiący na 40 marek grzywny, lub 4 dni więzienia. Sąd w odnośnych przestępstwach dopatrzył się tylko lekkomyślnego obrażenia cielesnego, popełnionego podczas urzędowania.

Mimowoli nasuwa się na myśl pytanie:

— Kiedy już raz przyjdzie kara na naszych ciemięzców?

A jakiś głos wewnętrzny mimowoli odpowiada:

— Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy!...

Chłop i djabeł. Przed paru tygodniami jechał chłop ze wsi do Kałusza na jarmark i wiózł wieprze na sprzedaż. Po drodze spotkał dyabła (didka), ubranego tylko w białe płócienne spodnie, bez kapelusza i bez butów.



Przeżegnał się chłop krzyżem świętym i chciał dyabła ominąć, jako, że niebezpiecznie jest „kusemu" zachodzić w drogę, ale ten nie zgodził się na to. Zatrzymał konie i rzekł do chłopa:

— Jedziesz na targ, gdzie sprzedasz dobrze wieprze, bo dostaniesz za nie 160 kor., ale za to musisz mi kupić koszulę i parę ciepłych spodni na zimę. Na tem samem miejscu będę czekał na ciebie.

Przyjechał chłop do miasta, gdzie na jarmarku ponad swe oczekiwanie, sprzedał wieprze za cenę przez dyabła przepowiedzianą. Biedził się przez chwilę, co zrobić z dyabelskiem żądaniem, lecz, że do domu wracać przecież musiał, a dyabła bał się okrutnie, więc kupił spodnie i koszulę, zaciął szkapięta i ruszył z powrotem do domu.

Na oznaczonem miejscu czekał na niego nieczysty. Chłop znowu przeżegnał się, zdjął czapkę z uszanowaniem z głowy, poczem wręczył didkowi tłumok. Dyabeł rozwiązał zawiniątko, wyjął koszulę i wdział na siebie, spodnie zaś oddał chłopu, mówiąc:

— W tym roku będzie bardzo łagodna zima, więc wystarczą mi moje płócienne hajdawery. Powiadam ci człowieku, że w marcu już ludzie w polu orać będą...

Odwrócił się, odszedł i wkrótce znikł chłopu z oczu. Wieśniak powrócił do domu i rozpowiedział wszystkim swoim przygodę z dyabłem i wierzono mu na słowo. A że udało się dyabłu przepowiedzieć, za jaką cenę wieprze na targu zostaną sprzedane, więc w kałuskiem lud powiada, że i przepowiednia co do zimy sprawdzi się z pewnością i w marcu na początku będzie już można orać w polu.

Pomiędzy ludem krążą liczne wersye o sprawkach dyabelskich i o wędrówce dyabła po ziemi. Przypuszczać więc można, że jakiś oszust wyzyskał łatwowierność chłopka ruskiego, niemniej jednak przypuścić można i to, że całe rzekome zdarzenie i spotkanie z djabłem zmyślił i sam chłop, ażeby okpić jeszcze naiwniejszych od siebie sąsiadów.

Zjadacze nabojów armatnich. Angielskie gazety wojskowe piszą, że w tamtejszej marynarce wojennej rozpowszechnił się zwyczaj, a raczej nałóg żucia korditu, który jest nowym rodzajem prochu. Jest on podobny do melinitu, a zawiera przeszło połowę nitrogliceryny, która czyni go bardzo słodkim. Jednakże nie dla samej słodyczy łakomią się na niego żołnierze angielscy. Proch ten ma upajające działanie na nerwy, w rodzaju opium lub morfiny. Jeżeli zażyje się korditu małą ilość, to działa on podniecająco, ale gdy zażyje się go więcej, działa silnie i wywołuje naprzemian: to najwyższe podniecenie, to znów obojętność na wszystko. — Władze starają się wszelkiemi sposobami zwalczyć i wykorzenić ten zgubny nałóg, napotyka to jednak u żołnierzy na silny opór. Łatwo zrozumieć, że rządowi zależy na usunięciu tej wady, bo przecież naboje armatnie nie na to są, aby je żołnierze zjadali.

Zazdrosny mąż. W Paryżu odkryła policya niezwykły typ męża zazdrosnego. Jeden z komisarzy policyjnych otrzymał zawiadomienie, iż pewien aptekarz przykuł łańcuchem żonę do ściany i że nieszczęśliwą kobietę trzyma tak na uwięzi już od dłuższego czasu. Policya udała się do mieszkania tego aptekarza i rzeczywiście znalazła żonę tego chorobliwie zazdrosnego człowieka zakutą w łańcuchy i okrytą żelaznym pancerzem. Miał on podobno nawet ogromnie kochać swą żonę a wracając do domu przynosił jej zawsze kwiaty i różne przysmaki. Nieszczęśliwą kobietę rozkuto i uwolniono z więzów, męża zaś aresztowano i osadzono w więzieniu. Prawdopodobnie zostanie on oddanym do szpitala dla umysłowo chorych.

Sprytna cyganka. Do sklepu w Wołczynie na Śląsku przyszła cyganka i zażądała funta kawy. Gdy kupiec kawę naważył, kazała ją sobie wsypać do dzbanka, który miała w fartuszku. Wtedy cyganka zaczęła szukać po kieszeniach pieniędzy i wreszcie oświadczyła, że je zostawiła w domu. Zapewniała kupca, iż może być zupełnie spokojny, gdyż ona zaraz po pieniądze pójdzie i za kawę zapłaci.

Ale kupiec, nie w ciemię bity, wziął z fartucha cyganki dzbanek, postawił go w kącie i oświadczył, że nieprędzej go wyda, póki cyganka pieniędzy nie przyniesie.

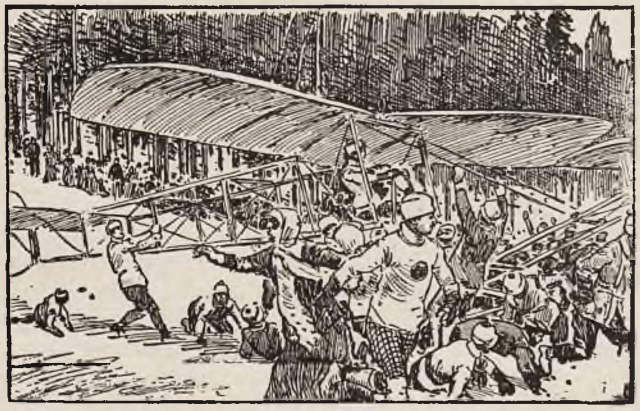
— Ano, kiedy mi pan nie wierzy — odpowiada cyganka — to pójdę po pieniądze.



To rzekłszy, odeszła. Kupiec czekał długi czas na jej powrót, a niemogąc się doczekać, postanowił zsypać kawę na dawne miejsce do szuflady. Jakież było jednak zdziwienie, gdy podniósł dzbanek! Przekonał się bowiem, że był on bez dna, wobec czego cyganka z kawą odeszła, pozostawiając kupcowi w zamian dziurawy dzbanek.

Okazało się, że przebiegła cyganka była jednak sprytniejszą, niż przezorny kupiec.

Latająca kobieta. Latanie po powietrzu jest sztuką niełatwą dziś jeszcze. Potrafi to nie każdy mężczyzna. Tylko najśmielszy, najprzytomniejszy i najzręczniejszy a mocny w rękach, potrafi dać radę nieudoskonalonym jeszcze samolotom (aeroplanom), które są łatwo wywrotne a trudne do kierowania, za byle czem się psujące. Przed kilku miesiącami jedna z kobiet francuskich odważyła się siedzieć na niebezpiecznej maszynie ze swoim mężem. Za to ją gazety sławiły, jako wyjątkowo odważną. Znalazła się jednak inna kobieta, która niedawno odważyła się na lecenie w powietrzu sama.



Było to pod Wiedniem, a do maszyny wsiadła panna bardzo młoda, siedemnastoletnia Anna Ehrenzweig. Po kilku próbach nieudanych poleciała gładko po powietrzu. Te jednak pierwsze nieudałe próby narobiły wiele hałasu. Przy drugiej wpadła swoją maszyną między publiczność: powstał okrutny strach, ludzie krzyczeli z przerażenia, przewracali się i uciekali. Całe szczęście, że było tam dużo śniegu i kto upadł potrącony przez innych, ten się nie bardzo potłukł. Kilku tylko skaleczyła spadająca maszyna. Tę właśnie chwilę przedstawia nasz obrazek. Widać na nim, że jedyną spokojną osobą była ta właśnie, której mogło się stać najwięcej złego przy upadku, to jest sama latająca. Siedzi ona prosto w pośrodku maszyny, pod wielkiemi skrzydłami, i z zimną krwią trzyma ręce na sterze.

Zamach bombą. W ubiegły piątek o godz. 3 rano wykonano zamach na starszego inżyniera i kierownika ruchu w szybie „Jan" w Karwinie na Śląsku Ludwika Holleina. Nieznany sprawca rzucił bombę do jego sypialni, Hollein jednakże pochwycił szybko bombę i wyrzucił ją na ulicę, gdzie wybuchła, nie raniąc nikogo.

Krwawy strajk. Z Filadelfii, w Ameryce północnej, donoszą o rewolucyjnym strajku tamże. Według tych wiadomości kilkuset robotników fabryki lokomotyw rzuciło się na policyantów. Z obu stron padły strzały. Kilkuset ludzi rannych. Strajk jeneralny ma być proklamowany, jeżeli pośrednictwo, jakie zarządzono, pozostanie bez skutku.

Skazanie truciciela. Sąd wojenny osądził już sprawę francuskiego podoficera huzarów nazwiskiem Farako, który oskarżony był o to, że pod koniec ubiegłego roku wsypał do kotła z zupą znaczną ilość trucizny, którą chciał wytruć cały szwadron. Jedynie przypadek zdarzył, że żołnierze nie zjedli zupy i uszli czekającej ich śmierci. Na rozprawie truciciel przyznał się, że wsypał do zupy truciznę, aby uwolnić się od jednego z kolegów, któremu winien był znaczniejszą kwotę pieniężną. Z płaczem wyznał oskarżony, że przez obcowanie ze złymi ludźmi zeszedł na manowce. Ma się rozumieć, że żal jego był już zapóźnym i sąd skazał go na 20 lat ciężkich robót.

Zagadki do nagrody.

(Nadesłał Jan Cieśla z B.).

1. Szarada.

Pierwsza litera — drugi miły w zimie,
Całość dla niewiast, gdy panieństwo minie.

2. Zagadka.

W jaki sposób człowiek „umarty" może jeść i pić?

3. Łamigłówka.

W niżej podanym kwadraciku poustawiać tak litery, aby pierwszy rządek pionowy i pierwszy poziomy dał nazwę gazetki, drugi pionowy i drugi poziomy — część ciała zwierzęcego, trzeci pionowy i trzeci poziomy — wody w stanie stałym, zaś czwarty pionowy i czwarty poziomy — nazwę przyprawy.

a	a	d	g
l	l	n	n
o	o	o	o
r	y	y	ż

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy pięknie oprawną powieść historyczną z czasów Jana III. z 9 illustracyami, **Walerego Przyborowskiego p. t. „Namioty Wezyra".** Nagdrodę wylosować może tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 12 marca b. r. Adres: **Kraków, ul. św. Tomasza l. 32, Redakcya *Roli*.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 8 *Roli*: 1 Szarada: **buraki,** 2. Zagadka **napisane słowo „oko"**.

Uwaga! Niektórzy podali jako znaczenie zagadki: okulary. No niby kółeczka są, ale jakoś trudno doszukać się krzesełka. Jest to tak, jak z tym, który powiedział: „Że 2+2 jest coś, to wiem, ale czy 3, czy 5, to nie wiem z pewnością".

* * *

Poniżej podajemy najpierw rozwiązania nadesłane nam wierszem, a następnie nazwiska tych, którzy przesłali zwykłe rozwiązania.

1.

Rozwiązenie szarady, chociaż lichej treści,
Przesyła członek „Kółka" z pomocą „Maćkową".
Szarada i zagadka w tych wierszach się mieści,
Które skreślił chłop prosty z „kapuścianą głową".

* * *

Przybiegł Maciek Bzdura z nowiną radosną,
Że w lesie buki, jak na drożdżach rosną,
Że raki w rzece popod wodę płyną,
To się chwilę pokażą, to znów w głębi giną!...
Nawet buraki, które kiedyś świnie zryły,
W pojęciu Maćka Bzdury, najpiękniejsze były.
I wszystko, co dziś widział, tak już biedak chwali
Za to, że mu gosposia miskę klusek dali:
Wtem przychodzi dziadek stary,
Ma na nosie okulary.
Zobaczył w *Roli* szarady:
Dalejże z Maćkiem do rady,
Który z nich zagadkę zgadnie
I na kogo los wypadnie?
Obydwa spór z sobą wiodą
Naprzód dzielą się nagrodą,
Jaka z swego przeznaczenia
Zmusza ludzi do myślenia.

W. Krawczyk z M.

2.

W lesie rosną buki, w wodzie żyją raki,
A ja to na wiosnę zasadzę buraki,
Ja to tę szaradę zaraz rozwiązałem,
Chocież tych dwóch kółek na nos nie wkładałem.
Ślepemu to choćby założył i trzecie,
Wierzcie mi Panowie, nie ujrzy on przecie,
Niech se ta i dalej te kółka wkładają
Ci co kiepskie oczy mieli też i mają.

Wojciech Hekłowski.

3.

(W skróceniu).

Muszę raz się w poetę zabawić,
Ażeby zagadki wierszykiem wyjawić.
Składnie to nie będzie, ani gramatycznie,
Gdyż to chłopu idzie trudno pisać ślicznie,
Ale chłop potrafi, niż pisać wierszyki,
Ładniej orać pole i splatać koszyki.
W lesie rosną buki, w wodzie żyją raki.
Całość rośnie w polu, a to są buraki.
Ja na Redaktorów patrzę miłem oczkiem,
Bym dostał oprawną książeczkę: „Pod Stoczkiem“.

Józef Ralski z O.

4.

Pierwsze z trzeciem: „buki“. W lésie rosną one
Drugie z trzeciem „raki“ z kleszczami czerwone.
Wszystkie zaś „buraki“, które dobrze znamy,
W polu, lub ogrodzie chętnie uprawiamy.
Zagadkę sam ułożyłem.
Jest to „oko“ i skończyłem,
Lecz tym razem „Redaktorze“
Los mnie minąć już nie może.

Karol Baron z P.

Nadto rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Boroński Jan z K., Jakubiec Sebastyan z T., Zarząd Kółka rolniczego w Łętowni, Józef Półtoranos z S., Józefa Hirszberg z K., Hermina Szpakówna z K., Władysław Latoszek z K., Michał Niewola a H., Józef Witek z Ś. Michał Pietryka z B., Adela Bezokówna z K. Zarząd Kółka rolniczego w Jaśliskach, Fr. Migdał z S, Władysław Moskal z G., Szkoła w Wrząsowicach, Jan Banach z B, Kazimierz Szymański z P., Władysław Stefański z G., Antoni Zając z S., Jędrzej Malinowski z Cz. Franciszek Zając z B. W., Wojciech Bober z H., Antoni Małecki z L., Leon Łętowski z S., Józef Witkowski z N.

Nagrodę przy losowaniu oprawną książkę z obrazkami Walerego Przyborowskiego p. t. **„Pod Stoczkiem“** otrzymał p. **Kazimierz Szymański** w P.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. P.: Jan Bratek w W.: Prenumerata zapłacona do końca roku. Kalendarz Pan otrzymał z nr. 7. — nie rozumiemy więc o co się Panu rozchodzi? — Jan Bałabuch w Sz.: Z przykrością stwierdzamy, iż na rok bieżący prenumeraty nikt nie nadesłał. Żal nam, że kalendarza wysłać nie możemy, ale posyłaliśmy go tylko tym, którzy sami prenumeratę całoroczną nadesłali. — Franciszek Walkowicz w S.: Kalendarz poleciliśmy schować, ale najpierw prenumerata, potem wysyłka. Gdybyśmy inaczej czynili nie doszlibyśmy końca! — Wincenty Zaremba w Z.: Dopokąd zapas starczy nowym prenumeratorom początkowe numera wysyłamy. Ostrzegamy jednak, że zapas niewielki, więc trzeba się spieszyć. — Bazyli Rudawski w Ch.; Sześć koron otrzymaliśmy i natychmiast wysłaliśmy Kalendarz. — Robert Rydz w T.: Za przesyłkę dziękujemy, załatwimy stosownie do życzenia. Niech pan próbuje napisać coś prozą. — Leon Łętowski w S.: Kalendarze pójdą. Wiersz przesłany nam w poprzednim liście za długi Gdyby Pan to wesołe opowiadanie napisał prozą, to możebyśmy wydrukowali. — Jan Rzepa w Cz.: Ucieszyliśmy się przesyłką, gdyż chcielibyśmy, żeby w Waszej parafii *Rola* liczyła z kilkuset prenumeratorów. — Leon Łętowski w S.: Wierszyk będzie drukowany, gdy się zaczną orki, gdyż naszą *Rolę* chcemy stosować do ziemskiej roli. Reszta będzie załatwiona w myśl życzenia. — Franciszek Zając w B. W.: Rozwiązań przesyłanych jako reklamacya przyjmować nie możemy, gdyż musielibyśmy opłacać podwójne porto. List nie opłacony jako reklamacyę, można posyłać nieopłacony tylko wtedy, gdy numer w drodze zaginie, a poszkodowany pisze o powtórne wysłanie numeru. — Michał Kała w Z.: *Rolę* wysyłamy. Prenumerata roczna wynosi 4 K a na przesyłkę kalendarza 30 hal.

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłali PP.: Tomasz Pasierb z S., Antoni Smagała z T., Bazyli Rudawski z Ch., Marcin Kowalczyk z J., Franciszek Markiewicz z S., Jan Inglot z S. Piotr Zelek z U., Jan Stachnik z K. Władysław Kowalski z B., Antoni Konobczyk z Z., Józef Rosik z Ż., Mieczysław Grojecki z Ł., Jan Rzepa z Cz., Jan Radoń z S., Antoni Kardysz z Ż.

Jan Ochaba z Z., Ignacy Durdzik z P., Michał Sliz z P., Maciej Noga z W., Kazimierz Orzeł z M., Stefan Brudak z P., Cyryl Makowski z S., Stanisław Gurgul S., Łukasz Krempa z D., Jan Myjak z L., August Obkochany w L., Michał Czyż z D., Jan Sofin z M.. Karol Šturpar z M., Ignacy Szczudło z L., August Wrażeń z D., Michał Smyk z P., Damazy Konopczyk z I., Stanisław Ozimek z Cz., Jakób Ochał z L., Szymon Optyk z M., Jan Rzeszut z W., Karol Guzio z Sz., Konstanty z L., Jan Kasprzyk z W., Czesław Oziński z W., Michał Ogonek z D., Kazimierz Miziołek z W., Stefan Guzik z Sz., Andrzej Blicharz z K., Dominik Moskal z M., Jan Baziuk z S., Kasper Sołowij z Cz., Bartłomiej Benzak z L.. Mikołaj Owsiany z D., Paweł Drabik z M., Onufry Szczygieł z K., Antoni Socha z B., Bronisław Niwiński z L., Jacenty Słowik z M., Stefan Prugar z D., Jan Lewak z D., Michał Domaradz z L., Łukasz Górnicki z M., Jan Stypuła z T., Michał Brodkowski z L., Stanisław Łomicki z K,, Kasper Suwada z L., Jan Domin z B., Marek Błudnik z W.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 1 marca:

Buhaje	Kor.	130	do	250	za sztukę
Woły z paszy	„	200	„	310	„
Krowy	„	120	„	225	„
Jałówki	„	50	„	149	„
Cielęta	„	18	„	64	„
Swinie	„	148	„	172	za 100 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie 1 marca:

Pszenica	Kor.	13·25	do	13·70	za 50 kg.
Żyto	„	9·20	„	9·45	„
Jęczmień	„	—·—	„	—·—	„
Owies	„	8·10	„	8·20	„
Otręby pszenne i żytnie .	„	5·50	„	5·60	„

OSTROŻNA.

— Mamo! Michałom wpadło do studni cielę!

— Masz teraz... a my z tej studni bierzemy wodę! trzeba będzie przecedzić od wypadku.

W SZKOLE.

— Głowacki! czemu tak późno przychodzisz do szkoły?

— Proszę pana profesora... bo ojciec się bił z matką, a ja czekałem kto wygra!...

PRZYJEMNY PUŁK.

— Wojtek! jak cię wezmą do wojska, to do jakich chciałbyś wstąpić?

— Do tych co to chodzą w niedzielę z kucharkami.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.